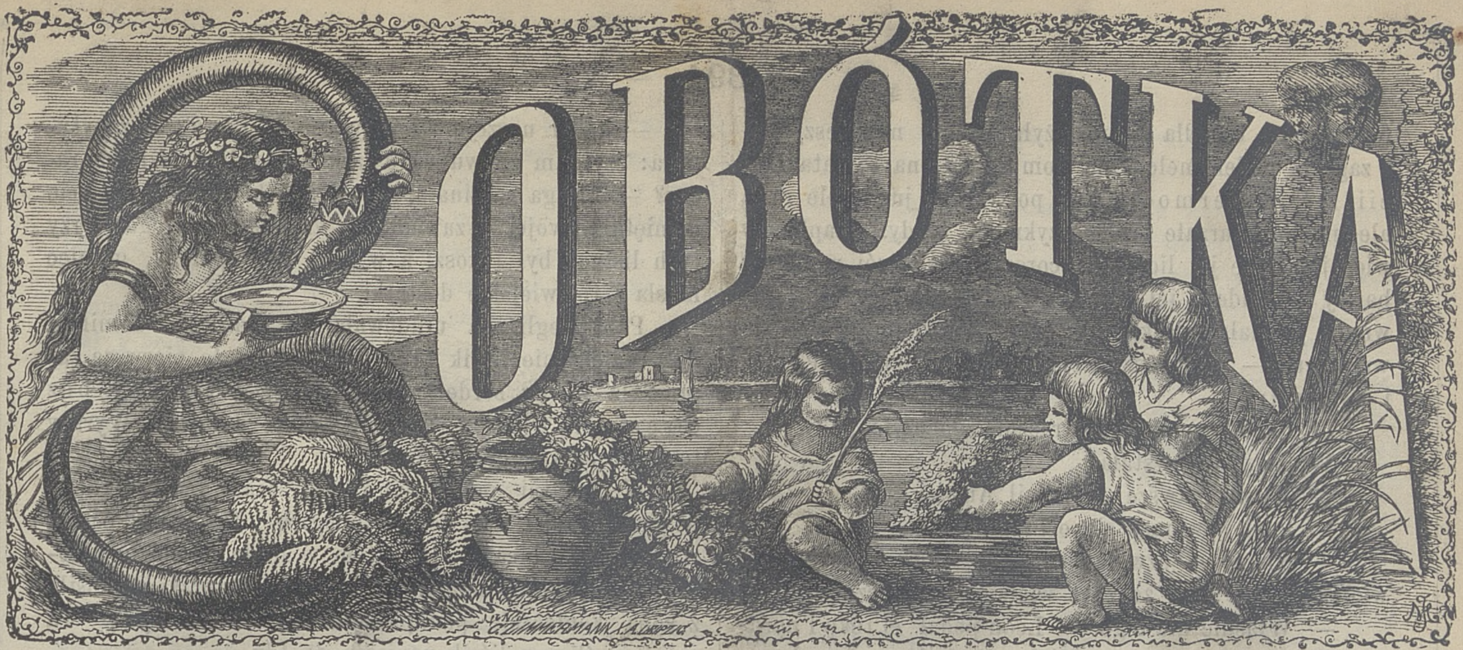


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 49. Poznań, dnia 4 Grudnia 1869. Rok I.

DZIS.

Powiastka

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

— Pod Brdowem — odrzekł.

Walentyna niżéj pochyliła czoło.

— Pod Young'iem! zawołał Antoś.

— Tak jest. Widziałem, jak padł Karól Libelt, którego kochałem. Biegłem do niego. W tém niby ciepła woda spłynęła mi po czole. Upadłem... i już nic nie wiedziałem o sobie.

— Jezus! A cóż daléj? spytała pani Żeglińska.

Igiełka drżała w palcach Walentyny.

— Ruch jakiś mnie ocknął. Ciemno było. Leżałem słomą przykryty. Wóz zemną toczył się zwolna. Czułem.. ból zimny, dotkliwy w głowie, począłem jęczeć, jakiś człowiek zagadał do mnie... I znowu straciłem przytomność. Wreszcie, gdym po raz drugi oczy otworzył, ujrzałem się na łóżku. W koło mnie byli ludzie jacyś. Owięzywano mi głowę... I zdaje mi się, że usnąłem. Ile godzin tak przeleżałem, nie wiem.

— Pan byłeś w obywatelskim domu?

— U państwa X, gdzie mnie najtroskliwszą otoczono opieką. Zjechał był doktor XX. z Warszawy, by ciężko rannym nieść pomoc, i przywieziono go do mnie. Potém opatrzył mnie doktór X. z Poznania. A po trzech tygodniach przewiozła mnie pani ......a, przez granicę do matki.

— I długo pan chorowałeś?

— Blisko trzy miesiące. A potém byłem wycieńczony bardzo. Bo prócz tego cięcia w głowę miałem i nogę postrzeloną.

— Mówiła mi mama. Nacierpiałeś się pan bardzo.

— Ale przecierpiało się i błogie przekonanie nagradza.

— Tyle cierpień! Tyle ofiar! zawołała pani Żeglińska — i wszystko napróżno.

— Czy napróżno, tego my dziś jeszcze powiedzieć nie możemy. A raczéj wierzajmy, że przyszłość błogosławieństwem narodu tę krwawą odpłaci siejbę.

— Ach Boże! czy tylko?

— Mamo! wymówiła Walentyna, blade podnosząc czoło, z przecudnym modrych oczów wyrazem. — Miejmy tę wiarę, że i łza marnie nie ginie, a cóż dopiero tyle, tyle krwawych ofiar...... i męczeństwa tyle!

— Całopalenia na ofiarnym ołtarzu narodu! — poszepnął Leon.

— Żem to i ja tam nie był! skulił Antoś pięści.

— Miałeś lat dwanaście dopiero!

Kasia wniosła samowar. Gospodyni domu powstała.

Walentyna miała wypalony na licu rumieniec. Leon patrzył się na nią z wyrazem tkliwego zajęcia.

— Panią przedmiot rozmowy zbytecznie poruszył — pochylił się ku niéj.

— To tak zawsze — przemówił Antoni — gotowa jeszcze i zapłakać.

— Więc mówmy o czém inném! — i Leon czynił uwagi o jakiémś zdarzeniu, o którém właśnie ostatni pisał Dziennik.

Po herbacie prosił Leon, by panna Walentyna zagrać raczyła.

— Zagraj, Tyniu, zagraj! wołała matka.

Młoda dziewczyna z wdziękiem posunęła się do

fortepianu. Usiadła — rozłożyła świeży nut zeszyt — i zagrała nader melodyjną kompozycyą na temata Lucii z Lammermooru — posłyszane już wiele razy, ale nie przestarzałe i nieoprzykrzone nigdy. Zapłonęły więcéj jeszcze jéj lica — i coraz mocniejszéj nabierały barwy — oddech jéj stawał się szybszym — oczy dziwnym jaśniały blaskiem. Leon trwożnym śledził ją wzrokiem — a gdy skończyła, pokłonił się, dziękując, i wymówił:

— Panią ta muzyka strasznie zmęczyła.

Walentyna powstała.

— To tak zawsze — rzucił Antoni.

— Pani powinnaś się ochraniać.

— Nic to — ozwała się matka — ona tylko ze zbyt wielką expresyą, ze zbyt wielkiém gra uczuciem.

— Właśnie dla tego — Leon podał éj rękę i uprowadził ją od fortepianu. Miała uśmiech na ustach. — Wyrzekam się przyjemności, przyjemności, którą wyrazem określić nie umiem, ale nie chciałbym dziś już drugiéj takiéj ofiary.

— Przeminie... — wymówiła z cicha.

— Panią już poprzednio poruszyła rozmowa.

Usiedli przy stole. Walentyna podjęła robotę.

— Dziś już nie! Nie dziś! prosił Leon, kładąc rękę na hafcie.

Panna zwinęła robotę — i o Idzie zagadała. Po chwili była bladą zupełnie.

Gdy Leon odszedł o dziesiątéj — pożegnawszy panie i uścisnąwszy Antosia, który go sprowadzał, — pani Żeglińska objęła córkę i poszepnęła jéj na ucho:

— Tyniu, jakżeż on ciebie kocha?

Walentynę szkarłatny oblał rumieniec.

— Ale co powie pan Węgrocki! zawołał Antoś, wracając ze świecą.

— Pan Węgrocki?

— Tak jest, mamo — Antoni świecę zadmuchnął.

— To i cóż ma powiedzieć?

— Ba!

— I na co?

— On kocha się w Tyni.

— Mój Antosiu! zawołała Walentyna.

— Bzdurzysz! dodała matka.

— Wiemci ja! Byłby się i podobał...

— Podobał? Co téż ty wygadujesz! — wyrzuciła matka.

— A czy nie lubiłaś go? zwrócił się niepohamowany chłopiec do siostry.

— Lubię go zawsze i cenię, bo jest zacny, przyjemny i wykształcony.

— Ale... Ktoś inny ładniejszy!

— Ach Antosiu! Walentyna do drugiego wybiegła pokoju.

— Dajżeż jéj pokój! z cicha napomniała go matka. — Nie drażnij jéj.

Antoś pochwycił pomarańczę, kilka ciastek i do swojego udał się pokoju. Zapalił lampkę — i zajadając, przeglądał dokonane wypracowanie na jutro.

III.

Nie upłynął tydzień a odebrały listy z Kozielska, pani Żeglińska od pani Wiesławskiéj, Walentyna od Idy — nader uprzejme i przyjazne. Pierwsza zapytywała: czyli im znowu na ostatki przytułku udzielić raczy? — Druga zaklinała, by Tynia kochana o tualecie pamiętała swojéj i zawodu nie zrobiła przykrego. Przy tych listach był i kosz, a w nim dwa kapłony, garniec masła i tp. wiejskie dostatki.

Pani Żeglińska uradowała się bardzo. I miłym był Walentynie liścik Idy. Oczywiście, że pierwsza zapraszała z całą serdecznością, ażeby przyjechały bez ceremonii, jakby do własnego domu. Wyrazy te były podkreślone.

W ostatni poniedziałek był teatr amatorski zapowiedzianym — na korzyść ubogich. Na wtorek znowu wieczorek z tańcami. A zatém w środę popielcową dodopiero odjechać miały. Na teatr amatorski zaprosiły z sobą koniecznie panią Żeglińską z Walentyną. Ta ostatnia śliczny liścik napisała do Idy.

Drugiego dnia potém siedziały wieczorem przy herbacie i obiedwie szyły z białego tarlatanu sukienkę na bal ów dla Walentyny.

Antoś w swoim pokoiku jeszcze jakąś kończył robotę. Z ulicy niekiedy tylko gwar małomiejski dochodził, odgłos biegnącéj pospiesznéj stopy — i rzadki turkot wozu.

Posłyszano szelest na wschodach i weszła Kasia oznajmiając:

— Przyszedł pan Wiesławski i zapytuje, czy panie przyjąć go raczą.

— Prosimy! Prosimy! zawołała pani Żeglińska, rozjaśniona szczególniéj, a Walentyna pochyliła się nad szyciem, z nagłą na licu krasą.

Wszedł Leon.

— Wybaczcie panie! Wybaczcie, że się ośmielam o tak niezwykłéj porze...

— Jesteś pan dobry i grzeczny, że przychodzisz — odrzekła gospodyni domu, podając mu rękę. — Witamy! Siadaj pan.

— Ale, czy nie przeszkadzam?

— Owszem, miło nam, żeś pan przyszedł.

— Więc nie naraziłem się natręctwem?

— O mój Boże! Raczéj nam pan dajesz dowód przyjaźni.

Antoś nadbiegł i uścisnęli się.

— Mama pana i panna Ida pisały do nas wczoraj — mówiła daléj pani Żeglińska.

— Byłem przedwczoraj u matki i mówiła mi, że wysyła do pań.

— Taka dobra! Ale to już za wiele tych grzeczności...

— Jakżeż zdrowie pani? Leon znać przerwać chciał podziękowania pani Żeglińskiéj, i pochylił się ku Walentynie, która milczała dotąd.

— Dobrze zupełnie — podniosła ku niemu oczy modre, przepiękne.

— Ach dobrze — dodała matka — bo przecież szyje sukienkę na bal.

— Sama?!

— Mówiłam, by dała do krawczanki.

— Wolę sama zrobić, dogodzę sobie lepiéj — uśmiechnęła się młoda dziewczyna — a jestem nieco wybredna.

Po licu Leona jakiś dziwny, niby rzewny przemknął wyraz. Jakże chętnie byłby jéj najpierwszą sprowadził modniarkę, gdyby tylko mógł — gdyby miał prawo po temu! — Widział jéj znużenie — wypalony na licu rumieniec — pragnął pracy przeszkodzić, odebrać ją z drobnych rączek — już miał przemówić — a musiał zaciąć zęby, bo prawa nie miał po temu. Cierpiał i bolał. Pani Żeglińska żwawą snuła gawędkę — młody jakby w zadumaniu odpowiadał.

— Odłóż, odłóż to szycie, Tynieczko? zagadała wreszcie matka — to przecież skończy się jeszcze! Zresztą jutro napewne sprowadzę krawczankę.

— Uczyń to pani dobrodziejka!... — dodał Leon z przyciskiem.

Gdy Walentyna odłożyła robotę i usiadła znowu z pogodą na czole, a bezczynnie, lica jéj zwolna zwykłą przybrały barwę — i wesoło do rozmowy należała ogólnéj. Leon także odzyskał zwyczajną sobie pogodę i humor.

Żegnając się, zapowiedział, że pojutrze odjedzie dopiero. Wezwał Antosia, by z nim poszedł jutro jakąś menażeryą zobaczyć — i zaprosił go na objad do najlepszéj restauracyi. Poczém pani Żeglińska zamówiła go, oczywiście znowu, ażeby wieczorem przybył na herbatę, jeżeli lepszéj nie znajdzie rozrywki.

— Nieskończenie wdzięczny! A pospieszę, szczęśliwy, bylem tylko nie stał się natrętnym.

— Leon ze znaczącym pokłonił się wyrazem. Pani Żeglińska w tym wyrazie przeczytała wszystko — a może i Walentyna. Tylko, że ta ostatnia milczała.

Antoś zwiedził zatém z panem Leonem menażeryą i zjadł dobry, zamówiony obiad. Wieczorem był młody Wiesławski już o godzinie szóstéj w salonie pani Żeglińskiéj — a do herbatki znowu różne przybyły przysmaczki. Leon był szczęśliwym — i wdzięczne lica Walentyny wesołym błyszczały wyrazem.

Nazajutrz zrana przyniesiono z poczty dość dużą kistę ze znakiem pocztowym Posen. Matka i córka zdziwiły się niezmiernie — i zaraz ją otworzyć kazały. Znalazły w niéj przeszło trzydzieści tomów najświeższych dzieł polskich, tak z historyi, jako i z literatury pięknéj — i trzydzieści tomów powieści i celniejszych poetów angielskich, Tauchnitza wydania w Lipsku.

Walentyna zdumiała — pobladła — a potem pokraśniała nagle.

To od pana Leona! poszepnęła jéj matka z uśmiechem — on chciałby tobie nieba przychylić!

Och i ona pewno pomyślała to samo — lecz niby téj myśli w głowie swojéj i sercu zagościć nie dozwoliła.

— Czyliż nie dowierzasz? ujęła matka jéj rękę.

— Och mamo! Tak!... Nie kto inny. Jest to grzeczność wielka.

— Grzeczność tylko?

— On wie, że sobie książek kupować nie mogę... a czytać lubię. Jest to względność wielka. A może Ida wpłynęła szczególniéj...

— A ba! zaśmiała się matka — nie Ida! I nikt.

— Potrzeba, by Antoś podziękował.

— Antosiu! zawołała matka.

Chłopiec jeszcze był w domu. Odebrał polecenie i pobiegł zaraz. Nie powrócił wszelako — bo czas był spieszyć do klasy.

Pani Żeglińska znalazła dla książek na prędce miejsce w szafie swojéj — bo Walentyna nie chciała, ażeby jak na pokaz rozłożone pozostały. Nadeszły uczennice — i młoda nauczycielka usiadła z niemi, lecz myśli jéj były daleko, a usposobienie gorączkowém.

W południe przyszedł Leon z Antosiem. Walentyna nieśmiała, pobladła, chciała mu dziękować — ale nie przyjął podzięki. A raczéj błagał, by ten upominek łaskawie przyjąć raczyła. Ujął jéj drzącą rączkę i do ust ją przycisnął.

Pani Żeglińska już w nim napewne przyszłego widziała zięcia. — W godzinę potém odjechał, z serdeczném pożegnaniem: Do zobaczenia! — Za dni pięć były już ostatki.

Sukienka Walentyny wykończoną została. Stanik wąskiemi białemi wstążeczkami przybrany, ślicznie jéj zgrabniutką uwydatniał kibić, zrobiła go sama.

W ostatnią niedzielę, około 3ciéj z południa, przybyła pani Wiesławska z Idą i z Leonem. — Antoni naprzód już wyniósł się był do kolegów.

Powitania były serdeczne, gwarne, radosne. Ida zaraz zapytała o sukienkę — obejrzała ją — pochwaliła i pokazała swoją. Mówiono o teatrze amatorskim — i pani Żeglińska z córką przyrzekły, że im towarzyszyć będą.

Nadszedł pan Stanisław Tarszyński — i Walentyna przekonała się ostatecznie, że w nim widzi gorącego wielbiciela Idy. A jeszcze potrzeba dodać, że Staś Tarszyński pod każdym względem do lepszych należał partyi.

Leon dwa przecudne przyniósł bukiety — sprowadzone z Berlina.

Pani Wiesławska kazała wcześniéj podać herbatę — i obiedwie panny ubierać się poczęły.

Walentyna niemal uroczo wyglądała w swojéj skromnéj, ale świeżutkiéj sukience, z białą szarfą — z trzema sznurkami czarnych pereł na szyi. Na głowie miała wieniec z różowych astrów — ponad czołem dość duże, a coraz mniejsze ku tyłowi głowy, co stanowiło dyadem, i w czém jéj szczególniéj do twarzy było. To też Leon, gdy nadszedł, niby oczów od niéj oderwać nie mógł — i poznała to pani Żeglińska z radością wewnętrzną. Poprosił ją także do pierwszego mazura — i wdzięcznym na to pokłoniła mu uśmiechem.

Około godziny dziewiątéj przyjechali i zastali już salę pełną. Polkowano właśnie — i Leon, nie leniwy, poskoczył z Walentyną zaraz. Po polce zadźwiękły zamaszyste tony mazura. I byłże to mazur! Walentyna płynęła, niby lekkim unoszona powiewem. Jakże im ładnie z sobą było i dobrze! — Zmęczona tym raźnym a najpiękniejszym narodowym tańcem — usiadła przy pani Wiesławskiéj, która jéj dla orzeźwienia flakonik jakiś podała. Nadeszła Ida z panem Stanisławem — a Leon z cukierkami przydążył.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czardasz na Puszcie.

(Z ryciną.)

Czém dla nas okiem nieprzejrzane, sklepienia niebieskiego sięgać zdające się stepy Ukrainy, tém dla Węgra Puszta, rozległa równina, ciągnąca się na mil kilkanaście, pokryta bujną roślinnością, ożywiona tu i owdzie rozrzuconemi wioseczkami.

Po szerokiéj téj równinie pasą się liczne trzody bydła i stada węgierskich rumaków, a jedynemi mieszkańcami Puszty są pasterze i z nimi w zażyłości przyjacielskiéj żyjący cyganie, którzy tu nie Merkuremu, ale Melpomenie oddani, ciągną w bandach z cymbałami, basami, skrzypkami od czardaszu do czardaszu*) i muzyką uprzyjemniają życie mieszkańców cichych zresztą i spokojnych równin.

Gdy ostatnie promienia słoneczne znikną z horyzontu i noc rozpostrze się po szerokiéj Puszcie, gdy ucichną głosy trzód spędzonych na spoczynek, nadciągają pasterze z rozmaitych stron ku czardaszowi, gdzie ich czeka wesoła muzyka i pląsy. Już zdala świeci w pomroce nocnéj spieszącemu cwałem na koniu czykosowi światełko przez zamglone szyby w osamotnieniu stojącéj gospody; im się bardziej do niéj zbliża, tem go więcéj dochodzi jakiś niezrozumiały, przygłuszony gwar, mącony coraz głośniejszym śmiechem, brzękiem szklanek, aż wreszcie dają się słyszeć melodye śpiewów narodowych i tony wesołego czardasza, który jak nasz mazur żywém tempo coraz więcéj podochoca i zapala tancerza. Trzeba być w takiéj gospodzie, ażeby pojąć, z jakim zapałem ci synowie równin węgierskich tańczą czardasza, który bez przerwy trwa przez całą noc aż do wschodu słońca. W gwarném a wesołém towarzystwie zatacza tancerz koło, trzymając za rękę pełną życia dziewczynę, elektryzującą go swemi czarnemi oczyma, już to wybijając przed nią hołubce, już téż podnosząc ją w górę śród wesołych okrzyków radości. Nic zapału ich powstrzymać, nic szału ich ostudzić nie zdoła.

Jakkolwiek całe życie synów Puszty węgierskiéj nosi na sobie wybitną cechę stósunków patryarchalnych, nie brak tu jednak na pewnych odcieniach towarzyskich, na pewnych różnicach arystokratycznych. Nie wszyscy pasterze są sobie równi i nie z każdym tańczy Węgierka z równą ochotą. Do najniższego rzędu towarzystwa zebranego na czardaszu należą pastuchy trzody chlewnéj, tak zwani kanásze, w większém już daleko poważaniu stoją pasterze bydła, tak zwani gulyasze, a najchętniéj tańczy Madziarka z smagłym czykosem, chodującym po stepach tabuny koni. Dzielne to i chwackie syny Puszty. Naród długi czas niewiedział, jak gorące i zacne serce bije w ich piersiach; sądzono, że żyjąc z cyganami pospołu, nie są od nich lepszymi, aż dopiero gdy naród węgierski podniósł r. 1848 powstanie przeciw rządowi austryackiemu, nie mogąc znieść dłużéj ciemiężenia i prześladowania tego, co mu było najdroższém, i gdy czykosy na swych szybkich koniach stanęli w szeregach Honwedów w obronie ojczyzny, wtedy poznano, jak dzielnych synów znalazła w nich ojczyzna. Od czasu téż owéj wojny partyzanckiéj brzmi cała Puszta węgierska tonami śpiewek narodowych, opiewających wspomnienia walki narodu węgierskiego o niepodległość i przypominających młodemu pokoleniu pasterzy rozległéj Puszty, że słodko umrzeć za ojczyznę. K.

*) Czàrdas znaczy to samo, co gospoda, gościniec; od tego także pochodzi nazwa tańca czardasza, że go tańczą pasterze na Puszcie po gospodach.

O Teatrze narodowym.

(Dokończenie art. V.)

Nie inaczéj rzecz się miała na Rusi.

W Kijowie już w XVII wieku grywano dyalogi religijne polskie i tak zwane żarty, czyli komedye; w końcu XVIII wieku zjeżdżali się tu artyści narodowi z Dubna; a w r. 1800 wybudowano drewnianną salę teatralną i dość nieszczególna trupa dawała tu przedstawienia przez lat kilka. Około r. 1805 zajrzał tu na krótko J. N. Kamiński ze swymi artystami, po nim zaś przedsiębiorstwo wziął Żmijewski, a następnie Malinowski. Mała jednak zasobność dyrektorów, brak prawdziwie utalentowanych artystów, były przyczynami, dla których teatr zaledwie wegetował. Powstały około r. 1820 teatr moskiewski stał najlepiéj. Lata 1827 i 1828, dzięki występom aktorów krakowskich były nieco świetniejsze. W r. 1830 Rekanowski pierwszy utworzył trupę artystów małorusińskich. Do r. 1851 zaglądali tu od czasu do czasu, zwłaszcza na kontrakta, artyści wędrujący, a choć w tym roku budynek teatralny rozebrano, to jednak trzymała się tu trupa Fedeckiego, a nawet balet. W r. 1856 postawiono nareszcie nowy teatr na 1200 osób i rozpoczęto przedstawienia dwiema małoruskiemi i jedną polską sztuką. Artyści jednak polscy z wyjątkiem Skwarskiéj i Jankowskiego nieodznaczali się talentem. W r. 1858 zarząd teatru oddano w ręce komitetu rządowego, a ten zawezwał Teofila Borkowskiego i oddał mu kontrakt na lat 12. Choć skład jego grona nie był szczególny, powodziło mu się nie źle, ale zepsuty smak publiczności zmuszał go do przedstawienia sztuk na efekt obliczonych, jak wskazuje wydany przez niego, a bardzo ciekawy „Bilans teatru polskiego w Kijowie od 1859 do 1862“, z którego przekonywamy się, że gdy komedye Fredry i Korzeniowskiego przynosiły zaledwie po 100 rubli, Żyd wieczny n. p. i t. p. rzeczy dawały po 500 i więcéj.

Lepiéj się powodziło teatrowi polskiemu w Kamieńcu Podolskim. Od początku bieżącego stulecia zjeżdżał tu często Kamiński, a obywatelstwo gorąco scenę narodową popierało. Około r. 1816 zjawił się tu Zieliński wraz z żoną, i oni oboje przez lat przeszło 50 podtrzymywali scenę tutejszą. W r. 1817 obywatele Podola postanowili zebrać sumę 30,000 rubli asygnacyjnych i 2/3 przeznaczyć na teatr, a 1/3 na zawiązek emerytalnego funduszu dla artystów. Rada zaś obywatelska czuwać miała nad dyrekcyą teatru, którą powierzono zdolnemu artyście Malinowskiemu. Projekt ten w części tylko przyszedł do skutku, bo nie cały fundusz udało się zebrać. Odtąd w Kamieńcu Podolskim widzimy prawie stały teatr, to gorszy, to lepszy, a czasem nawet, jak w r. 1853 pod dyrekcyą Wolskiéj, przy współudziale Zielińskiego, Łukaszewskiego, Sroczyńskiego, Zielińskiéj, Mężyńskiéj, Massalskiéj i t. d. wcale dobry. Po wybudowaniu w r. 1856 nawego teatru, przedsiębiorstwo dostało się Piekarskiemu, który je prowadził nieszczególnie. W r. 1860 Zielińska obchodziła 50 letni jubileusz artystycznego zawodu i otrzymała od obywatelstwa srebrny wieniec laurowy. Hołd to był zasłużony, bo artystka ta wraz z mężem swoim przyczyniła się niezmiernie wiele do rozbudzenia zamiłowania sceny w tamtych

do Polski, długie lata pracował jako nauczyciel francuzkiego języka w liceum warszawskiém i akademii duchownéj; matką Justyna z Krzyżanowskich. Sióstr miał trzy: Emilię, zmarłą w młodym wieku przed rokiem 1830, Ludwikę i Izabellę. Mniéj może wiadomo, że imię Fryderyka otrzymał dla uczczenia pamięci Fryderyka hr. Skarbka, który artystę naszego do chrztu trzymał, i że światło dzienne ujrzał dnia 1 marca r. 1809, nie (jak powszechnie i długo mniemano) r. 1810.

Jako dziecię zadziwiał Chopin bystrością pojętnością, żywością charakteru, z którą szła w parze niezmierna wrażliwość i skłonność do zadumy. Dar obserwacyi nadzwyczajnie w nim rozwinięty, zastanawiał każdego, kto tylko dom rodziców jego odwiedzał. Nauki były dlań igraszką, ale wcześnie przylgnął całą duszą do muzyki i gry na fortepianie, w któréj mu Czech Żywny pierwsze udzielał początki. Przyjaciele Chopina zaręczają nam, iż zawsze, nawet w ostatnich latach przed skonem z wdzięcznością i rozczuleniem wspominał starego nauczyciela. Józef Elsner był mu przewodnikiem w tajemnicach kontrapunktu i nauce kompozycyi.

Mając lat 16 zwiedził Wielkopolskę, gdzie go ks. namiestnik Antoni Radziwiłł, sam biegły wirtuoz na wiolonczeli i namiętny muzyki wielbiciel, poznał i należycie ocenił. Dedykacyą swego nieśmiertelnego Trio (op. 8) na fortepian, skrzypce i wiolonczelę, wywiązał się óźniéj Chopin z wdzięczności za względy sobie przez dostojnego mecenasa okazywane.

Postępy Fryderyka na fortepianie były tak olbrzymie, że już w 9 roku swego życia wystąpił w koncercie danym na dochód ubogich przez Towarzystwo Dobroczynności. Prócz tego pierwsze domy i rodziny żyjące wtedy w Warszawie, jako to: Sapiehowie, Woliccy, Lubeccy, Skarbkowie, Okołowie i inni, wydzierali sobie nawzajem cudowne dziecię, by jego grą zebraniom towarzyskim dodać krasy i uroku. Ztąd to młody wirtuoz nabrał owego taktu, łatwości i wyższego tonu w obejściu, który jedynie przestawanie z osobami wykształconemi i dobrze wychowanemi nadać może; stąd przywykł do wykwintnéj wystawności, jaką się późniéj w Paryżu otaczać lubił. W liceum warszawskiém należał do tak celujących uczniów, iż dwukrotnie nagrodę publiczną uzyskał. Słusznie biografowie jego twierdzą, iż gdyby nadzwyczajny popęd do muzyki nie był stanowczo Chopina do kompozycyi i fortepianu pociągnął, zdolnościom jego i w literaturze świetną rokować można było przyszłość.

Elsner, ojciec duchowy nieomal wszystkich, którzy u nas w nowszych czasach w muzyce głośniejsze zyskali imię, umiał tak prowadzić genialnego ucznia, iż nie przytłumiając tlejącéj w nim iskry bożéj, pozwolił mu iść za popędem własnych natchnień, wznoszących go w regiony przez innych jeszcze nie zwiedzane i puszczać się ścieżkami jeszcze nie wydeptanemi.

Sława jego w narodzie, mianowicie w ciaśniejszém znajomych i przyjaciół gronie, rosła niezmiernie; czarowi gry jego nikt się oprzeć nie zdołał; za dowód niech staną dwa przez jego biografów opowiedziane zdarzenia.

Ojciec Fryderyka utrzymywał, jako profesór szkół publicznych, między rokiem 1820—30 liczny pensyonat, nad którym zdawał dozór na czas swéj nieobecności jednemu z starszych uczniów. Owóż pewnego razu wieczorem, w czasie niebytności pana Chopena, młodzież nie czując nad sobą groźnéj feruły, taką wrzawę wszczęła i tak psocić zaczęła, iż pan dozórca rady sobie dać nie wiedział. Ani napomnienia, ani prośby i groźby nie skutkowały. W rozpaczy udaje się do naszego Fryderyka, podówczas jeszcze ledwo wyrostka, błagając go i zaklinając, aby przyszedł i pomógł mu ująć w karby gawiedź rozhukaną. Fryderyk zrywa się od fortepianu, idzie z panem dozórcą i prosi chłopców do sali, obiecując im opowiedzieć na fortepianie bardzo ciekawą historyą. Młode psotniki, acz nie wszyscy znali się na muzyce, chętnie idą za jego głosem, bo lubili i młodego Fryderyka i uroczą grę jego. Siada wtedy Fryderyk i zaczyna przedstawiać w muzyce jakby melodrama jakie, przeplatając grę opowiadaniem. Wprowadza ich do lasu, maluje uroczystą jego ciszę, przerywa ją dzikiemi okrzyki ogorzałych rozbójników, kreśli w tonach ich życie koczownicze, trudy i niebezpieczeństwa, i kończy obrazem snu, jaki ich ogarnął. Chłopcy bądź znużeni wrzawą i figlami, które poprzednio płatali, bądź ulegając potrzebie spoczynku o tak późnéj porze, a może nie mogąc się oprzeć urokowi gry młodego wirtuoza, wszyscy posnęli. Wtedy p. Fryderyk cichaczem z sali się wynosi, matkę i siostry z sąsiedniego pokoju do sali zaprasza, mówiąc, że coś arcyciekawego zobaczą, wskazuje im snem zmorzonych, poczém siadłszy cichutko do instrumentu, silny uderzył akord i wszyskich pobudził.*)

Przejdźmy do innego późniejszych czasów sięgającego wypadku. Uczniowie dawniejszego uniwersytetu warszawskiego gromadzili się około godziny 11 w niedzielę i święta u PP. Wizytek na mszą uroczystą, w czasie któréj wykonywano na chórze msze instrumentalne i wokalne. Amatorowie muzyki i uczniowie konserwatoryum muzycznego chętnie się zbierali, aby wykonaniem dzieł religijnych celniejszych kompozytorów przyczynić się do uświetnienia służby bożéj. I Chopin, mianowicie w r. 1829 i na początku 1830, bywał na chórze i lubił grywać na organach. Grał zaś po mistrzowsku i umiejętnie używał rejestru i pedału. Otóż razu pewnego, gdy odśpiewano „Credo“ czy jakąś inną część mszy, Fryderyk, pochwyciwszy motyw odegranego kawałka, począł trybem wielkich mistrzów fantazyą, przerabiając, parafrazując temat, ukazując go w jak najrozmaitszych kombinacyach i przekształceniach. A fantazyował tak cudnie, tak uroczo, że wszyscy, i śpiewacy i orkiestrzyści, opuściwszy swoje pulpity i porzuciwszy instrumenta, wiankiem otoczyli ławę, na któréj siedział grający, tonąc w falach harmonii, i zapomniawszy o miejscu i czasie. Wszystkim się wydało, że to nie msza, lecz koncert Trwało to może i dobry kwadrans, aż tu wpada pospiesznym krokiem zapyrzony zakrystyan między zadumanych, i w ten sposób ich marzenia przerywa: „A cóż tu u licha Państwo wyrabiacie? Czyście głowy potracili, czy co? Ksiądz już dwa razy na głos zaintonował: Dominus vobiscum! Chłopcy dzwonią, a dzwonią; a wy gracie, a gracie! Panna starsza, która mnie tu przysłała, okrutnie się gniewa.**)

Cesarz Aleksander I, będąc w Warszawie, kazał sobie przedstawić młodego wirtuoza, i za mistrzowską grę na eolo-melodykonie, wtedy co dopiero wynalezionym, kosztownym brylantowym obdarzył go pierścieniem. Poprzednio słynna śpiewaczka Catalani, zawitawszy do stolicy Polski w przejeździe, ofiarowała mu zegarek z wyrytem na nim swém imieniem.

*) Karassowski (Młodość Chopina I.)
**) Sikorski (Wspomnienia Chopina)

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

(Zastósowanie Dziesięciorga przykazań bożych.) Pewien chciwy kolonista zakradł się do stodoły swego sąsiada po kapustę, gdzie już wycięta leżała, a któréj niestety właściciel pilnował. Złodziéj ów o niczém nie wiedząc, wziąwszy worek zaczął w niego kłaść kapustę, licząc: jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta, — następną zaś główkę odrzucił na bok, rzekłszy:

i siódme — nie kradnij — i znów tak samo liczył, dopóki worka nie napełnił. Gdy chciał odchodzić, właściciel strzegący kapusty który to wszystko widział, wypadł z ukrycia, a ująwszy złodzieja za kołnierz, zaczął kijem okładać, licząc: jeden, dwa, trzy, cztery, następnie kij odłożył na bok, rzekłszy: piąte nie zabijaj! — i tak ciągle powtarzał. Wreszcie po zadosyć uczynieniu puścił złodzieja, który też korzystając z sposobności uciekł z stodoły.

(Jerzy Peabody) zmarł tych dni w Londynie w 74 roku. Pochodził on z miasta Douvers w Stanie Massachussets, a uczciwą i natężoną pracą w Ameryce, później w Londynie, zgromadzał jako kupiec i bankier kolosalny majątek, z którego wielkie sumy wydawał na szlachetne i dobroczynne cele. Fundacye jego, jakie czynił na zakładanie bibliotek, muzeów dla ubóstwa pracowitego, wynoszą ogółem 13,000,000 tal. W Anglii i Ameryce Północnéj, nazwisko jego otoczone jest sławą i czcią ojca ludzkości, na którą przed nim jeszcze nikt w takim stopniu nie zasłużył. A był to człowiek za życia najskromniejszy, nigdy nie przyjął publicznéj owacyi, ani dziękczynienia za niepoliczone dobrodziejstwa.

(Uniwersytet dla kobiet). W Hitchenie w Anglii założono osobny uniwersytet dla kobiet. Młode kobiety, które ukończyły nauki szkólne, kształcić się tam będą w takich samych przedmiotach, jakie wykładane są dla mężczyzn; stopni uniwersyteckich udzielać będzie kandydatkom uniwersytet w Chambrigde. Zapisało się dotąd 17 uczennic, z których wszystkie mają większe lub mniejsze uzdolnienie w arytmetyce, w gramatyce angielskiéj, w językach: greckim, łacińskim, francuskim, w umiejętnościach fizycznych, hydrostatyce, algebrze, chemii, botanice i muzyce. Opłata na tym uniwersytecie wynosi rocznie 105 funtów szterlingów.

Przedstawienie teatralne

Towarzystwa Młodych Przemysłowców

w Poznaniu.

Nie mogąc wspomnieć rychléj, zamieszczamy w niniejszym numerze Sobótki kilka słów o teatralném przedstawieniu, które dało w letnim teatrze Towarzystwo Młodych Przemysłowców, dnia 24 listopada. Przedstawienie rozpoczęło się pięknym wierszem, napisanym przez młodego poetę Władysława Bełzę, bawiącego obecnie w Poznaniu, oddeklamowanym przez jednę z zaproszonych dam, który to wiersz tu podajemy.

Polskim Muzom.

Gdzież wy teraz rozwiane muzy narodowe?
Pierś wam z togi odarto — a z promieni głowę.
Depcą po waszych progach przybysze nieznani,
A świątynie wam obcy kalają kapłani.

Na gruzach waszych bujnie chwast dziki się pleni. .
Wygnano was niebianki z ojców waszych ziemi!
Gdzież wam szukać schronienia dla znękanéj głowy,
Gdzież wam szukać słuchaczów dla ojczystéj mowy?

Na lutni Apollina popękały struny!
Czoło odarte z laurów — zwieńczają piołuny!
Wzrok odwrócił od nieba — bo cóż bogom powie,
Że go z ziemi wyrodni wygnali synowie!

Tam kształtna Terpsychore w klasycznéj tunice
Załamała dłoń białą i zakryła lice.
Któż dzisiaj gonić będzie jéj motyle loty,
Zapatrzony na pląsy bezwstydu, sromoty?

Indziéj cudna bogini bladém licem świeci,
I okiem zapłakaném spogląda na dzieci,
Krokiem dumnéj królowéj ustępuje z sceny:
Bo już inne się cisną do wrót Melpomeny.

Tu dłonie wyciągając, płomiennemi słowy
Skarży się wam, ziomkowie, bogini wymowy;
A drużki jéj niedoli błagają przed światem:
Za pieśnią narodową, za polskim dramatem.

I w krąg tylko płacz słychać i jęki żałosne...
Gdzie te blaski przedświtu, co zwiastują wiosnę?
Gdzież to wzniosłe uczucie, co podnosić każe,
Z zrębów domy ojczyste, a z gruzów ołtarze?

A więc rzucam pieśń moją, niechaj do was płynie,
Niech będzie pierwszą cegłą na nową świątynię!
Niech jak żebrak się czołga od progów do progów:
Aż wybłaga przybytek dla ojczystych bogów.

Następnie odegrano komedyą w 1 akcie Władysława Bełzy: Emancypantkę, poczém oddeklamowany został wiersz Anczyca Tyrteusz. W końcu odegrano dwuaktową krotochwilę pod tytułem Ulica nad Wisłą, a pan Ksawery Budkowski odtańczył mazura-solo kostiumowego.

Publiczność, która tak licznie była zgromadzoną, iż wiele bardzo osób la braku miejsca stać było zmuszonych, podziwiała znakomitą grę amatorów.

Wszakże Towarzystwo Młodych Przemysłowców, dając teatralne przedstawienie, nie miało na celu wyłącznie zabawy, ale chciało zarazem obudzić interes między naszą publicznością dla sceny narodowéj, i dać pierwszy impuls do założenia stałego teatru polskiego w Poznaniu.

Szlachetna ta i prawdziwie narodowa myśl zasługuje tém bardziéj na ogólne uznanie, że się wzbudziła w sercach średnich warstw naszéj społeczności, w sercach ludzi młodych, zajętych pracą przemysłową. Jestto wymowny a zarazem pocieszający dowód, że uczucie narodowe budzi się w warstwach średnich i niższych jedynie w miarę rozwoju wykształcenia, w miarę szerzenia się ogólnéj oświaty, że lud dopóki ciemny, dopóty nie jest świadom swéj narodowości. Czy przed laty kilkunastu, kiedy praca nie była w tém poszanowaniu co dzisiaj, kiedy o przemyśle naszym wcale mówić nie było można, możnaby się było spodziewać, ażeby stan przemysłowy zdolny był się zająć w tym stopniu myślą założenia teatru narodowego!

Zarząd Towarzystwa Młodych Przemysłowców przeznaczył dochód z owego przedstawienia na przyszły fundusz, z którego ma być późniéj zbudowany gmach teatralny dla sceny narodowéj i zarazem dał inicyatywę do wyboru komisyi, która ma obmyślić dalsze środki celem praktycznego podjęcia projektu założenia stałego teatru w Poznaniu. Komisya ta złożona z pięciu członków wygotowała już odezwę do najzamożniejszych i o sprawy narodowe najgorliwszych obywateli na prowincyi i w mieście Poznaniu, wzywających ich na walne zebranie, by projekt stałego teatru praktycznie podjąć. W połowie grudnia mają się zebrać zwołani obywatele.

Jaki będzie rezultat tego zebrania, trudno przewidzieć. Założenie stałego teatru polskiego w mieście naszém i utrzymanie takowego spotka się niewątpliwie z niemałemi trudnościami. Potrzeba będzie wielkich funduszów, ażeby teatr narodowy utrzymać. Wszakże jakkolwiek nasze zasoby materyalne są nader słabe, nie należy nam jednak tracić nadziei, że całe Wiel. Księstwo Poznańskie i Prusy Zachodnie, że nawet Galicya pospieszy z składkami, ażeby i w starym grodzie Piastów zakwitnęła scena narodowa. Chcąc i z naszéj strony poprzeć moralnie podjęty projekt założenia teatru polskiego zamieścimy w następnych numerach Sobótki dwa artykuły o dawniejszych usiłowaniach utrzymania sceny narodowéj w Poznaniu, napisane przez autora artykułów: O teatrze narodowym, które obecnie drukujemy.

W chwili gdyśmy kończyli tę krótką wzmiankę, nadesłano nam z zarządu Tow. Młod. Przemysłowców program drugiego przedstawienia amatorskiego, na dzień 15 bm. które składać się będzie: 1) ze śpiewu, 2) deklamacyi wiersza Sabowskiego p. n. Biała szata, 3) Aktu trzeciego dramatu Kacper Karliński, i 4) jednoaktowéj komedyi ze śpiewkami: Chłopi Arystokraci pióra Wł. L. Anczyca. Widowisko zakończy mazur w cztery pary, układu utalentowanego baletmistrza p. Ksawerego Budkowskiego. Dalsze przedstawienia odbywać się mają regularnie w odstępach dwutygodniowych.

*

Szarada.

Pierwsze z ssawców europejskich największym jest zwierzem,
Co śmiało się w puszczy spotyka z szermierzem;
Toż z trzeciem pod wieśniaka kryjąc się dachem,
Lub też w ogródku — nie nęci zapachem,
A pysznych nosi miano. — Synonim wróg ongi srogi,
Co Polsce slał i Niemcom postrach i pożogi,
Chyżo je zalewając, jak bystrym potokiem
Groził i niewolą i swoim prorokiem.
Drugie bierności będąc przeciwnikiem,
Gdy szlachetne lub śmiałe — nie rodzi się z krzykiem.
Brzydkim, rychło już wierszem straszy matka dziecię,
Chcąc mu przyszłość upewnić na świecie.
Wszystkim wreszcie zasłona przez dzień kryje lice,
A niewola wielka jeszcze — stawia im granice.

(Rozwiązanie szarady w nr. 48: ***Rafael.***)

PUSZKA DO LISTOW.

M. młodéj Wielkopolance: Z pewnych powodów nie możemy Pani w téj chwili odpowiedzieć; odpowiemy w przyszłym numerze Sobótki. Za życzliwą pamięć dziękujemy. — Panom: Szczęsnemu Org. w Lwowie, S. Wiś. w Obroczynie, T. C. Zabrzu, K. Mag. w Gnieźnie; J. Dr. w Żerkowie: Dziękujemy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2 — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.